

CZESŁAW JAKUBIEC

Ksiądz dr Czesław Jakubiec, ur. 14 lipca 1902 r. w Warszawie, syn Wacława i Tekli z Królikowskich, zastępca profesora teologii katolickiej UW, zam. w Warszawie, ul. Krakowskie Przedmieście 52/54, złożył w dniu 14 stycznia 1948 roku następujące sprawozdanie w Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie:

Wybuch powstania warszawskiego zastał mnie w seminarium duchownym przy ul. Krakowskie Przedmieście 52/54. Do 7 sierpnia 1944 roku na naszym terenie panował spokój, dochodziły tylko odgłosy dalszych walk. Gdy kilkakrotnie udawałem się z pociechą religijną na ulicę Dobrą, musiałem przebiegać chyłkiem przez Furmańską, gdyż na balkonie domu przy Sowiej jakiś Niemiec (cywilny) strzelał do każdego, kto się na ulicy pokazał. Niemiec ten najprawdopodobniej nie był ubrany po wojskowemu.

Gmach Prezydium Rady Ministrów (ówczesny tzw. *Deutsches Haus*) był obsadzony przez Niemców. W znajdującym się na tyłach tego gmachu ogrodzie jakaś młoda Niemka przez kilka dni z rzędu całymi godzinami siedziała na drzewie, obserwując przeciwległą oficynę seminarium i strzelając, gdy tylko zauważyła, że ktoś jest w jednym z pokoiów. Doniesiono mi o następującej rozmowie, pomiędzy wspomnianą Niemką a jednym z żołnierzy: „ – Olga, zejdź już z drzewa!”. „ – Zaraz, tylko jednego Polaka zastrzelę!”.

Pewnego dnia, bardzo rano, wpadła do nas grupa Niemców (Wehrmacht?) i wzięwszy znajdujących się w seminarium czterech księży i trzech kleryków za przebranych powstańców, zagroziła nam rozstrzelaniem i przystąpiła do poszukiwania broni. Incydent skończył się szczęśliwie, gdyż broni nie znaleziono. Niemcy ci jednak utrzymywali, że ktoś do nich z naszego gmachu strzelał. W ogóle przez cały czas naszego pobytu w seminarium Niemcy mieli jakąś *idée fixe* na tym punkcie; pewnego dnia, już gdzieś w drugiej połowie sierpnia, wpadł jakiś Niemiec, posądzając nas, że strzelamy. Groził nam przy tym, iż nas pozabija.

Bardzo rano 7 sierpnia doniesiono mi, że Niemcy zajmują Powiśle od strony mostu Kierbedzia, że wysiedlają stamtąd ludność, mężczyzn zaś w wielu wypadkach rozstrzelują. Jakoż wkrótce potem duże grupy ludności z ulic: Furmańskiej, Bednarskiej, Karowej, Sowiej i Mariensztat zaczęły napływać do seminarium, szukając schronienia. Odtąd przez szereg dni napływali mieszkańcy z Powiśla, tak że ogółem przeszło przez seminarium ponad 10 tysięcy osób (od niemowląt aż do starców). Ludzie ci w wielu wypadkach byli wypędzani z domów w brutalny sposób. Widziałem pewnego starca, któremu nie pozwolono nawet włożyć obuwia. Opróżnione w ten sposób domy Niemcy przeważnie podpalali.

Wśród przybyłych spotkałem profesora Uniwersytetu Warszawskiego Cybichowskiego, który, jak mi opowiadał, cudem tylko uniknął śmierci, gdyż w domu profesorskim przy Nowym Zjeździe 3/5 Niemcy rozstrzelali większość znajdujących się tam profesorów.

Wkrótce po spędzeniu pierwszych transportów Niemcy postanowili zgromadzoną w seminarium ludność „przeprowadzić – jak mówili – w bezpieczniejsze miejsce”. Dopiero jeden z pijanych Niemców przyznał się, że ludność ta jest kierowana do obozu, przy czym młodszych mężczyzn „likwiduje się”.

Znacznie później dowiedziałem się, że do obozu przejściowego w Pruszkowie transporty szły przeważnie pieszo, rzadziej samochodami. Oczywiście ludność niechętnie opuszczała seminarium, nie chcąc iść na niepewny los; Niemcy jednak wyszukiwali kryjących się po kątach. W drugiej połowie sierpnia (daty dokładnie nie pamiętam) przy takim jednym transporcie SS-mani spędzili większość osób i obrabowali je z kosztowności, zabierając zegarki, obrączki, pierścionki i pieniądze pod groźbą rozstrzelania.

Najpierwszy transport, jaki odszedł pieszo, składał się z chłopców z sierocińca w Strudze pod Warszawą. Chłopcy ci zostali przyprowadzeni przez opiekujących się nimi księży michalitów. Księża otrzymali od Niemców zapewnienie, że będą mogli wyprowadzić dzieci z Warszawy. Transport ten przeprowadzono do Saskiego Ogrodu i tu zaczęto oddzielać chłopców starszych. Nie wiem, w jakich okolicznościach dano przy tym salwę, raniąc dwóch opiekujących się nimi księży; być może, że i chłopcy odnieśli rany. Bliższych informacji co do tego incydentu może udzielić ks. Zawada, mieszkający obecnie w Krakowie (drukarnia ks. ks. michalitów), który był przy tym obecny. Chłopców było ponad stu.

Co kilka dni Niemcy wyprowadzali większe grupy ludności, na miejsce zaś wyprowadzonych napływała nowa ludność, wypędzana z domów, w miarę, jak Niemcy zajmowali nowe tereny.

Między innymi ewakuowano do seminarium szpital położniczy ks. Anny z ul. Karowej. Niemowlęta zostały umieszczone w salach seminarium; o ekscesach w związku z tą ewakuacją nie słyszałem.

Pozostająca w seminarium ludność przeżywała oprócz „transportów” wiele ciężkich chwil. Bowiem niemal w tym samym czasie wpadały na nasz teren poszczególne grupy Niemców (formacji nie pamiętam; jednakże był to nie tylko Wehrmacht, ale i SS) w rozmaitych celach. Zwykle wczesnym rankiem odbywały się poszukiwania „bandytów” (tzn. powstańców) i broni. W czasie tych poszukiwań Niemcy nie oszczędzali i kościoła.

Pamiętam, gdy raz kończyłem Mszę św., zbliżył się do mnie miejscowy organista i błady z przerażenia powiedział mi, że Niemcy są w kościele i szukają mężczyzn. Jakoż zobaczyłem kilkunastu żołnierzy niemieckich w hełmach na głowie i z bronią przygotowaną do strzału. Rozeszli się po całym kościele, przyglądając się badawczo modlącym się tam ludziom. Czy wtedy kogoś zabrano, nie pamiętam.

Drugim utrapieniem było niemal codzienne wybieranie mężczyzn „na roboty”. Odbывало się to zwykle w godzinach przedpołudniowych. Zabierano nie tylko młodszych, ale nawet starszych. Jak słyszałem, brano ich do rozbierania (pod kulami) barykad i do zakładania przewodów telefonicznych. Wielu z zabranych nie wróciło; możliwe, że sami Niemcy ich pozabijali albo, że zginęli, pracując pod ostrzałem.

Ale było jeszcze jedno utrapienie. W sąsiedztwie seminarium znajdowały się składy win firmy Rago, przejętej, o ile się nie mylę, przez jakieś przedsiębiorstwo niemieckie w czasie okupacji. Jak się okazało, w składach tych było nie tylko wino, ale i wódka. Niemcy dostali się do nich i odtąd przez dłuższy czas upijali się codziennie. Zwykle nad wieczorem, a nawet po południu, wpadali pijani żołnierze na teren seminarium i porywali dziewczęta oraz młodsze kobiety. O ile mi wiadomo, prowadzono je do pobliskich domów, a nawet do pałacu Brühla, gdzie byli nie tylko prości żołnierze, ale i oficerowie. O gwałtach na terenie seminarium nie słyszałem. Łatwo zrozumieć, że takie zjawianie się pijanych Niemców wywoływało panikę, zwłaszcza wśród kobiet. Ja sam o mało nie zostałem zastrzelony przez pijanego żołnierza dlatego, że uśmiechnąłem się ironicznie, widząc, jak drugi żołnierz pijany zwałił się z ławki na ziemię. Ze słowami: „ – To tyś mu dał wódki” Niemiec tamten sięgnął po rewolwer. Jedynie dzięki temu, że był pijany i poruszał się niezgrabnie, zdołałem uciec i schować się. Inny znów Niemiec pijany chodził po salach, gdzie leżeli starcy i ranni, sprawdzając

dokumenty. Zbliżywszy się do jakiejś starszej kobiety leżącej na łóżku, wyciągnął rewolwer, by ją zastrzelić. Na szczęście znajdował się na tej sali ks. Dembiński, który zdołał owemu Niemcowi zamiar ten wyperswadować.

Pewnego dnia żołnierze niemieccy urządzili sobie dziką zabawę; mianowicie, widząc, że korytarze seminaryjne są zapełnione ludźmi (bo w pięćdziesięciu pokojach i w kilku salach zajętych na szpitaliki, nie mogło się zmieścić parę tysięcy ludzi), zaczęli przez okna strzelać z podwórza. Zostało wtedy rannych kilka osób, wśród nich pewna kobieta, matka dwojga małych dzieci, która po przeniesieniu do Szpitala św. Rocha zmarła od odniesionych ran.

14 sierpnia Niemcy podpalili bezpośrednio sąsiadujący z seminarium dom, tzw. Dziekankę. Zorientowawszy się, że ogień może się przenieść i na *Deutsches Haus* (Prezydium Rady Ministrów), nakazali nam gasić pożar. Mimo że akcja była bardzo utrudniona z powodu braku wody (filtry wówczas już nie działały), ogień po kilku godzinach ugaszono. W akcji tej brali udział wszyscy, nie wyłączając kobiet.

Wobec bezbronnego położenia znajdującej się w seminarium ludności, wystawionej na wybryki żołnierzy niemieckich, którzy bardzo często wpadali na nasz teren ze wszystkich stron (również i od strony ogrodu, znajdującego się na tyłach; żołnierze wchodzili przez okna), plądrując wszystko i terroryzując ludność, postanowiono zwrócić się do Niemców stacjonujących w Prezydium Rady Ministrów ze skargą. O ile mi wiadomo, urzędujący tam pułkownik (?) Schmidt przyjął to nieprzychylnie, a nawet po grubiańsku. Dopiero inny oficer niemiecki Stachel przysłał do seminarium dwóch żołnierzy i odtąd przy wejściu do seminarium była warta. Kto pertraktował ze Stachelem, nie wiem; najprawdopodobniej znajdująca się na naszym terenie p. Krystyna Wilkowska, a przede wszystkim nieżyjący już prof. Cybichowski.

Wartownicy niemieccy różnie się spisywali. Dwukrotnie (a może i więcej razy) rzeczywiście interweniowali, gdy od strony ogrodu wdarli się przez okno żołnierze niemieccy. Jednakże i wartownicy brali udział w pijatykach. Szczególnie źle się zapisał jeden z nich, niski szatyn, który był bardzo bezwzględny (zwłaszcza po pijanemu). Raz chciał mnie zastrzelić rzekomo za nie dopilnowanie porządku w seminarium; w ostatniej chwili zdołałem uciec z pokoju. Ten sam wartownik chciał zastrzelić jednego z pracowników, Józefa Woźniaka. Przyczyny nie pamiętam, w każdym razie chodziło o błaħostkę.

Szczególnie podejrzliwie odnosili się Niemcy do nas, księży. Ciągłe sprawdzali nam dokumenty i grozili wywiezieniem. Kiedyś jeden z Niemców wyzwał nas obelżywie, mówiąc: „ – To wy, księża, wychowaliście młodzież na bandytów; to niesłychane, żeby młodzież ośmieliła się po bandycku strzelać do żołnierzy niemieckich!”.

Od chwili upadku Starego Miasta widzieliśmy pędzonych przez Niemców mieszkańców tej dzielnicy. Wynosiliśmy im wodę do picia, gdyż szli bardzo wynędzniali. Udało się nawet wiele osób wciągnąć do seminarium. Niemcy eskortujący prowadzonych odpędzali nas kolbami. Mimo to dowiedzieliśmy się, że na Starym Mieście pozostało jeszcze dużo rannych, chorych, starców i kalek, którzy leżą na ulicy bez opieki, a nawet, że są dobijani przez Niemców. Postanowiono więc zaopiekować się tymi nieszczęśliwymi. Udano się więc do wspomnianego już Stachela (kto poszedł, nie wiem; informacji w tym względzie mogłaby prawdopodobnie udzielić p. Krystyna Wilkowska, która obecnie mieszka w Warszawie przy ul. Białostockiej 20 m. 33) i ten pozwolił iść na Stare Miasto; o ile sobie przypominam (nie jestem pewny), pozwolenie to było połączone z zastrzeżeniem, że nie wolno zabierać stamtąd „bandytów”, lecz tylko ludność cywilną. W ciągu dłuższego czasu (do dwóch tygodni?) chodziliśmy codziennie z noszami i z chorągwią Czerwonego Krzyża na Stare Miasto, ulicami: Podwale, Kilińskiego, Długą. Na Długiej przed gmachem Ministerstwa Sprawiedliwości był punkt zborny; stąd rozchodziliśmy się na przyległe ulice (Freta, Mostowa, Stara). Mimo, że na czele niesiono, jak już wspomniałem, chorągiew Czerwonego Krzyża, spotykały nas szykany ze strony Niemców. I tak na ulicy Podwale, gdy przechodziliśmy z rannymi koło cerkwi prawosławnej, wybiegł jeden ze znajdujących się tam Niemców i usiłował wciągnąć do bramy jedną z idących z nami dziewcząt, choć miała ona na rękawie opaskę z Czerwonym Krzyżem; dzielna ta dziewczyna zdołała mu się jednak wyrwać. Na placu znów Zamkowym, gdy obok zwalonej już kolumny Zygmunta zatrzymaliśmy się na odpoczynek, zbliżyła się do nas grupa Niemców, którzy z rewolwerami w ręku nachylali się nad noszami, szukając „bandytów”, aby ich zastrzelić. Ogółem przetransportowano do seminarium większą liczbę osób (ile, trudno mi powiedzieć), w tym szereg osób narodowości żydowskiej (zwłaszcza z ulicy Starej) i umieszczono tych nieszczęśliwych w zaimprovizowanym szpitalu. Wiele z tych osób zmarło w seminarium, reszta została później ofiarnie przeniesiona do szpitala na Płocką (Szpital Wolski), a następnie ewakuowana do Podkowy Leśnej wraz z całym szpitalem.

Wspomniany gmach przy ulicy Długiej, w którym w czasie powstania znajdował się szpital, przedstawiał straszny widok. W bramie widziałem mnóstwo leżących jeden na drugim na pół

zwęglonych trupów. Byli to leżący w tym szpitalu ranni Polacy, których – jak mi opowiadano – Niemcy żywcem spalili. Większość leżących w bramie trupów tłumaczono mi w ten sposób, że nieszczęśliwi ci po podpaleniu szpitala próbowali wyczołgać się na ulicę i w tym celu kierowali się ku bramie, która jednak była przez Niemców umyślnie zatarasowana. Podobnie i w piwnicach znajdowano na pół zwęglone trupy, a nawet, o ile dobrze pamiętam, jeszcze i żyjących rannych. Do piwnic nie schodziłem.

Gdy przyszedłszy po raz drugi na ul. Długą, zobaczyłem siedzącego przed bramą szpitala ks. Pągowskiego wraz z kilku innymi osobami. Ocalili się oni jedynie dzięki temu (ks. Pągowski był ranny w nogę), że schody, prowadzące do tej części zabudowań, w której się znajdowali, zbyt wcześnie się zawaliły, tak że Niemcy nie mogli do nich dotrzeć, by ich pozabijać, przy czym po spaleniu się schodów ogień dalej się nie przeniósł. Ks. Pągowski zaraz pierwszego dnia, gdy poszła nasza ekipa, słyszał nawoływania, że przyszedł Czerwony Krzyż, że jeśli ktoś jeszcze jest w ruinach szpitala, niech wyjdzie; jednakże obawiając się, iż jest to podstęp ze strony Niemców, nie odezwał się i dopiero na drugi dzień, kiedy usłyszał powtórnie wezwanie, wyszedł.

Na ulicy Starej, na tyłach Domu Dobroczynności, gdy za czwartym razem byłem na Starym Mieście, widziałem leżących na materacach, na deskach lub na bruku rannych (większość kobiet), wśród nich i Żydów; w niezaopatrzonych ranach były robaki, ranni zaś byli przemarznięci, leżąc dzień i noc pod gołym niebem. Zabieraliśmy tych nieszczęśliwych etapami, gdyż rozporządzaliśmy niewielką liczbą noszy. Przy rannych były kobiety, które się nimi opiekowały (nazwisk nie znam). W jedenastu zabraliśmy nosze trzy razy, część nieznoszona szła, zostało jeszcze dużo osób.

Ile, nie wiem. Skąd tam ranni ci się znaleźli, nie wiem.

Transportując rannych, przechodziłem przez podwórze tuż koło kościoła św. Jacka. Zauważyłem koło figury Matki Boskiej kilku zabitych mężczyzn; czyli byli podpaleni, nie pamiętam. Do zabudowań przy wspomnianym kościele nie wchodziłem; kościół wówczas się dopalał. Wreszcie Niemcy zabronili nam dalszych transportów ze Starego Miasta. Było to około połowy września (daty dokładnie nie pamiętam).

Już pod koniec naszego pobytu w seminarium chowałem trzy młode kobiety, ubrane dostаточно, zaduszone przez Niemców w piwnicy domu przylegającego do zabudowań

seminaryjnych. Były to ofiary rozbestwionych Niemców, którzy przez kilka dni przebywali tam na kwaterze.

26 września zjawiło się gestapo (zielone mundury z czarnymi wypustkami i trupie główki na czapkach). Zdziwili się, że w seminarium, leżącym, ich zdaniem, na linii frontu, jest jeszcze ludność cywilna. Nakazali więc w kilka godzin opróżnić gmach. Gdy przyszli powtórnie, zastali niemal ten sam stan liczbowy, gdyż ludność ociągała się z wyjściem, nie chcąc iść na niepewny los. Kazali mi wtedy przemówić do ludzi, by opuścili seminarium, grożąc, że gdy przyjdą powtórnie, wszystkich nas rozstrzelają. Przemówiłem, ale bez skutku. Nazajutrz dla przykładu wyszedłem z niewielką grupą chętnych, obawiając się rozlewu krwi. Doszliśmy do Szpitala Wolskiego. Na drugi dzień, niepokojąc się o losy seminarium, przekradłem się na Krakowskie Przedmieście. Po drodze spotkałem mych znajomych, jadących na wozach w stronę Woli. Gdy dotarłem do seminarium, zastałem je już opustoszałe. Wycofałem się więc śpiesznie, gdyż przebywanie w gmachu groziło śmiercią.

Od osób, które z naszego seminarium zostały zabrane do *Deutsches Haus* (Prezydium Rady Ministrów), dowiedziałem się [, będąc] już poza Warszawą, że Niemcy wkrótce po opróżnieniu seminarium splądrowali je. Między innymi dostali się do piwnicy, gdzie były ukryte kosztowności kościelne (monstrancje, kielichy) i rzeczy te zrabowali. Chcąc zaś zatrzeć ślady tej kradzieży, wznieclili umyślnie pożar. Opowiadał o tym Józef Woźniak pracownik seminarium. Pożar ten jednak inna grupa Niemców, bojąc się o „swój” *Deutsches Haus*, ugasiła.

Z Warszawy wyszedłem wraz z rannymi ze szpitala Wolskiego 28 czy 29 września 1944 i udaliśmy się do Podkowy Leśnej, dokąd ewakuowano szpital.

Pewna chaotyczność i fragmentaryczność moich zeznań tłumaczy się tym, że każdy dosłownie dzień, przeżyty w czasie powstania w seminarium, obfitował w tyle emocjonujących wydarzeń, że dzisiaj (po trzech latach) wszystko zlało się w mojej pamięci w jeden koszmarny obraz. Nawet nazwiska i twarze jest mi dziś trudno sobie przypomnieć. Pamiętnika nie prowadziłem, bojąc się, by go nie przejęli Niemcy.

Ani ze Schmidtem, ani ze Stachelem, ani z innym dowódcą niemieckim w czasie mego pobytu w seminarium nie stykałem się. O Schmidcie słyszałem tylko, że był dla nas nieprzychylny.